

# Poemat „Salut Au Monde!” Walta Whitmana

Adam Lizakowski ( *tłumaczenie*)



Walt Whitman, George C. Cox (1851-1903, photo), Adam Cuerden (1979-, restoration), Library of Congress's Prints and Photographs division, wikimedia commons

**Walt Whitman**

## **Salut Au Monde!**

**1.**

*O, weź mnie za rękę, Walcie Whitmanie!*

*Takie wirujące cudowności! Takie widoki i dźwięki!*

*Wszystkie połączone w nieskończoności, jedno z drugim!*

*Każde odpowiada każdemu – wszystkie dzielą ziemię ze wszystkimi.*

\*

*Co się w tobie rozrasta, Walcie Whitmanie?*

*Jakie fale i ziemie dojrzewają?*

*Jakie klimaty? Jacy ludzie i kraje są tutaj?*

*Kim są te niemowlęta? Niektóre się bawią, inne drzemią.*

\*

*Kim są te dziewczyny? Kim są te zamężne kobiety?*

*Kim są trzej starcy idący powoli z ramionami*

*Splecionymi na szyjach?*

*Co to za rzeki? Jakie to lasy i owoce?*

*Jak nazywają się te góry, wznoszące się tak wysoko*

*We mgły?*

*Co to za mrowia mieszkań, wypełnione mieszkańcami?*

**2.**

*We mnie szerokość geograficzna się poszerza, długość się wydłuża,*

*Azja, Afryka, Europa są na wschodzie – Ameryce przeznaczony jest*

*Zachód;*

*\**

*Gorący równik obejmuje wypukłą ziemię;*

*Ta obraca się na osiach północny i południa, te łączą ją;*

*We mnie jest najdłuższy dzień – słońce wschodzi*

*Pochylnymi pierścieniami – nie zachodzi przez miesiące,*

*Wyczekuje na swój czas we mnie zorza polarna,*

*Unosi się nad horyzontem i ponownie zachodzi.*

*\**

*We mnie strefy, morza, katarakty, równiny, wulkany,*

*archipelagi,*

*Oceania, Australja, Polinezja i szereg*

*Wysp Indii Zachodnich.*

**3.**

*Co słyszysz Walcie Whitmanie?*

*\**

*O poranku,*

*Słyszę śpiew robotnika i żony farmera,*

*W oddali słyszę odgłosy dzieci i zwierząt;*

*Słyszę pełne emocji okrzyki Australijczyków ścigających dzikiego konia,*

*Słyszę hiszpański taniec z kastanietami w cieniu kasztanów, przy dźwiękach  
Mandoliny i gitary,*

*Słyszę gwar znad Tamizy,*

*Słyszę żarliwe pieśni francuskie o wolności,*

*Słyszę melodyjne przyśpiewki starych poematów włoskiego gondoliera;*

*Słyszę straszną armię szarańczy w Syrii, gdy atakuje  
zboże i trawy,*

*Słyszę, koptyjski przyśpiewki przed zachodem słońca, w zadumie opadające na  
Czarną pierś Nilu czcigodnej, potężnej matki:*

*Słyszę ćwierkot Meksykanina poganiającego muła i  
jego dzwoneczki*

*Słyszę, nawoływanie arabskiego muezin z wieży meczetu,*

*Słyszę chrześcijańskich kapłanów przy ołtarzach ich kościołów, słyszę  
odpowiedzi basu i sopranu;*

*Słyszę okrzyk Kozaka i głos marynarza dobiegający znad morza  
Ochockiego.*

*Słyszę sapanie niewolników pól kawowych,  
gdy w grupach maszerują, skuci łańcuchami po dwóch  
i trzech za ręce i kostki,*

*Słyszę, Hebrajczyka czytającego księgi i psalmy,*

*Słyszę zrymowane mity Greków i pełne mocy legendy*

*rzymskie;*

*Słyszę opowieść o boskim życiu i krwawej śmierci pięknego*

*Boga, Chrystusa,*

*Słyszę, jak Hindus uczy swojego ulubionego ucznia przypowieści*

*o miłości i wojnie, pisanych trzy tysiące lat temu*

*przez poetów a troskliwie przekazywanych dzisiaj.*

**4.**

*Co widzisz Walcie Whitmanie?*

*Kogo pozdrawiasz, kto to jest, i kto ciebie pozdrawia jeden po drugim?*

\*

*Widzę wielki, okrągły cud, obracający się w przestrzeni,*

*Na jego powierzchni małe gospodarstwa, wioski, ruiny, cmentarze, więzienia,*

*fabryki, pałace, szałas barbarzyńcy, namioty nomadów,*

*namioty koczowników;*

\*

*Widzę zacienioną część, w niej ludzie śpią,*

*i część słoneczną po drugiej stronie,*

*Widzę zadziwiające szybkie zmiany światła i cienia,*

*Widzę odległe krainy, tak rzeczywiste i bliskie ich mieszkańcom jak*

*mój kraj jest dla mnie.*

\*

*Widzę olbrzymie obszary wodne,  
Widzę szczyty górskie, widzę pasma Sierry i Andów,  
Widzę wyraźnie Himalaje, Chian Shahs, Altaj, i Ghaty,  
Widzę potężne szczyty Elbrusu, Kazbeku, Bazardżusi,  
Widzę Alpy Styryjskie i Alpy Kornijskie,  
Widzę Pireneje, Bałkany, Karpaty, a na północy -  
Dofrafielids i wystający ponad morze wulkan Hekla.*

*\**

*Widzę Wezuwiusza i Etnę, Góry Księżycowe i  
Czerwone Madagaskaru,  
Widzę pustynie libijskie, Arabii i Azji,  
Widzę ogromne, groźne góry lodowe Arktyki i Antarktydy,  
Widzę oceany większy i mniejszy Pacyfik i Atlantycki  
Zatokę Meksykańską, morze brazylijskie i morze  
Peruwiańskie;  
Wody Hindustanu, morze chińskie i Zatokę Gwinejską,  
Wody Japonii, piękna zatokę Nagasaki otoczona górami;  
Widzę wybrzeża Morza Bałtyckiego, Kaspjskiego, Botnickiego, wybrzeża  
brytyjskie i  
Zatokę Biskajską,  
W jasnych promieniach słońca Morze Śródziemne i wyspy jedna*

*po drugiej,*

*Morze Białe i morze wokół Grenlandii.*

*\**

*Widzę żeglarzy świata,*

*Niektórych w objęciach sztormów, innych stojących na wachcie,*

*Niektórzy dryfują bezradnie, inni cierpią na choroby zakaźne.*

*\**

*Widzę żaglowce i parowce świata, niektóre zakotwiczone w*

*portach, niektóre na pełnym morzu,*

*\**

*Niektórzy opływają Przylądek Dobrej Nadziei, drudzy*

*Zielony Przylądek, a inni przylądki*

*Guardafui, Bon lub Bajadore,*

*\**

*Inni kierują się na Dondra, inni na Cieśninę Sundajską, inni na przylądek*

*Łopatka, inni na Cieśnię Beringa,*

*Inni na przylądek Horn, inni płyną do Zatoki Meksykańskiej lub koło Kuby*

*lub Hayti, inne do Zatoki Hudsona lub na morze Baffina,*

*Inni przepływają przez cieśniny Dover, inni wpływają do Wash, inni do*

*Zatoki Firth, inni okrążają Cape Clear, inni przylądek Lands End,*

*\**

*Inni zmierzają do Zuyder Zee lub Szeldu,  
Inni, odwiedzają i opuszczają Gibraltar lub Dardanele,  
Inni ciężko torują swą drogę przez północne zasy śnieżne,  
Inni płyną w górę lub w dół na Obi lub Lenie,  
Inni Nigru lub Kongo, inni Indu Brahmaputry  
i Kambodży  
Inni czekają w gotowości w portach australijskich,  
Czekają w Liverpoolu, Glasgow, Dublinie, Marsylii, Lizbonie, Neapolu,  
Hamburgu, Bremie, Bordeaux, Haga, Kopenhadze,  
Czekają w Valparaiso, Rio Janeiro, Panamie.*

## **5.**

*Widzę sieci linii kolejowych świata,  
Widzę je w Wielkiej Brytanii, widzę je w Europie,  
Widzę je w Azji i Afryce.*

\*

*Widzę elektryczne telegrafy świata,  
Widzę strzępy wiadomości o wojnach, śmierci, stratach, zyskach,  
pasje mojej rasy.*

\*

*Widzę długie koryta rzek na ziemi,  
Widzę Amazonkę i Paragwaj,*



*Widzę cztery wielkie rzeki Chin, Amour, Żółtą Rzekę,  
Yiang-tse i Perłową*

*Widzę, gdzie płynie Sekwana i gdzie Dunaj, Loara,  
Rodan i Guadalquiver,*

*Widzę jak się wije Wołga, Dniepr, Odra,*

*Widzę, jak Toskańczyk płynie w dół Arno, a Wenecjanin po  
Pad,*

*Widzę greckiego marynarza wypływającego z Zatoki  
Egejskiej.*

## **6.**

*Widzę kolebkę starożytnego imperium Asyrii oraz Persji i  
i tego w Indiach,*

*Widzę ujście Gangesu nad wysokim brzegiem Saukary.*

*\**

*Widzę to miejsce idei Bóstwa wcielonego przez awatary w  
ludzką postać,*

*Widzę miejsca sukcesji kapłanów na ziemi, wyrocznie,  
ofiary, bramini, sabianie, lamy, mnisi, mufici,  
egzorcyści,*

*Widzę, Druidów gdy spacerują po gajach Mony, widzę jemioły  
i werbeny,*

\*

*Widzę świątynie, gdzie umierały ciała Bogów, widzę  
stare symbole.*

*Widzę, Chrystusa jedzącego wśród młodych i starych  
na ostatniej wieczerzy,*

*Widzę, gdzie silny, boski młody człowiek, Herkules, służył długo i  
wiernie, a potem zmarł,*

*Widzę miejsce niewinne, bogate w życie i nieszczęśliwego losu  
pięknego syna nocy, atletycznego Bachusa,*

*Widzę w Knepha, ubranego na niebiesko, z koroną z piór  
na głowie,*

*Widzę Hermesa umiłowanego, niespodzianie umierającego, mówiącego do  
ludzi; Nie płaczcie a mną,*

*To nie jest mój prawdziwy kraj, żyłem wygnany z mojego prawdziwego  
kraju, teraz tam wrócę,*

*Wracam do sfery niebieskiej, gdzie na każdego przyjdzie kolei.*

7.

*Widzę pola bitew świata, rośnie na nich trawa i  
kwiaty i kukurydza,*

*Widzę ślady starożytnych i współczesnych wypraw.*

*Widzę bezimienne mury, starodawne przesłania nieznanymi*

*wydarzeń i bohaterów kronik ziemskich.*

*wydarzenia, bohaterowie, zapisy ziemi.*

\*

*Widzę miejsca sag,*

*Widzę sosny i jodły rozdarte przez podmuchy wiatrów północy,*

*Widzę rumowiska granitowe i klify, widzę zielone łąki i jeziora,*

\*

*Widzę kopce skandynawskich wojowników,*

*kamieniami usypano je wysoko na krawędzi niespokojnych oceanów,*

*aby duchy umarłych zmęczone ciszą grobów mogły wzbić się*

*i popatrzeć na szalejącą kipieli i odświeżyć się w burzach,*

*bezmiarach, swobody działania.*

,

*Widzę stepy Azji*

*Widzę kurhnany Mongolii, widzę namioty Kałmuków i*

*Baskirowie,*

*Widzę koczownicze plemiona ze stadami wołów i krów,*

*Widzę krainy płaskie, pocięte wąwozami, widzę dżunglę i*

*pustynie,*

*Widzę wielbłąda, dzikiego rumaka, dropa, owcę o grubym ogonie,*

*antylopę i wilcze jamy.*

*Widzę wyżyny Abisynii,*

*Widzę stada kóz karmiących się i widzę figę, tamaryndę, daktylę,*

*Widzę pola obsiane trawą abisyńską-pszenicą i miejsca zielone i złociste.*

*Widzę brazylijskiego kowboja,*

\*

*Widzę Boliwijczyka wspinającego się na górę Sorata,*

*Widzę Wacho\* przekraczającego równiny, widzę niezrównanego jeźdźca  
z lasso na ramieniu,*

*Widzę ponad pampasami zaganianie dzikiego bydłem dla ich kryjówek.*

**Wacho\* - król Longobardów w latach ok. 510-540.**

**8.**

*Widzę regiony śniegu i lodu,*

*Widzę bystrookiego Samoiede i Fina,*

*Widzę łowcę fok w jego łodzi, unoszącego lancę,*

*Widzę Syberyjczyka w sankach ciągniętych przez psy,*

*Widzę łowców morświnów, widzę załogi wielorybników z południowego*

*Pacyfiku i północnego Atlantyku,*

*Widzę urwiska, lodowce, potoki, doliny Szwajcarii - pamiętam*

*długie zimy i izolacja.*

**9.**

*Widzę miasta świata i losowo staje się ich*

*Mieszkańcem,*

*Jestem prawdziwym paryżaninem,*

*Jestem mieszkańcem Wiednia, Petersburga, Berlina, Konstantynopola,*

*Jestem z Adelaide, Sidney, Melbourne,*

*Jestem z Londynu, Manchesteru, Bristolu, Edynburga, Limericku,*

*Jestem z Madrytu, Kadyksu, Barcelony, Porto, Lyonu, Brukseli, Berny,*

*Frankfortu, Stuttgartu, Turynu, Florencji,*

*Należę do Moskwy, Krakowa, Warszawy lub na północ w Christiania*

*albo w Sztokholmie, w syberyjskim Irkucku lub na jakiejś ulicy w*

*Islandii,*

*Wpadam do nich wszystkich i opuszczam je znów.*

**10.**

*Widzę opary, wyziewy z niezbadanych krajów,*

*Widzę ludy dzikie, łuk i strzałę, zatrute ostrze,*

*fetysz i obi.*

\*

*Widzę miasta afrykańskie i azjatyckie,*

*Widzę Algier, Trypolis, Darnę, Mogadorę, Timbuctoo, Monrovię,*

*Widzę mrowie ludzkie Pekinu, Kantonu, Benares, Delhi, Kalkuty, Tokio,*

*Widzę Krumana w jego chacie oraz Dahomejczyków i Aszanti*

*w swoich chatach*

*Widzę Turka palącego opium w Aleppo,*

*Widzę malownicze tłumy na targach w Chiwie i tych*

*w Heracie*

*Widzę Teheran, widzę Maskat, Medynę i piaszczystą pustynię,*

*widzę karawany mozolnie się posuwające,*

*,*

*Widzę Egipt i Egipcjan, widzę piramidy i obeliski,*

*Patrzę na wykute historie, rejestr podbojów królów, dynastie,*

*wryte na płytach z piaskowca lub na blokach granitowych,*

*Widzę zabalsamowane mumie owinięte płótnem, w grobowcach w Memphis,*

*leżą tam wielu stuleci,*

*Patrzę na zabitego Tebańczyka, o dużych oczach z szyją przekrzywioną*

*na bok, z dłoni złożonymi na piersi.*

*\**

*Widzę wszystkich usługujących świata, pracujących w pocie czoła,*

*Widzę wszystkich więźniów w więzieniach,*

*Widzę defekty ludzkich ciał,*

*ślepotę, głuchoniemych, idiotów, garbatych, wariatów,*

*piratów, złodziei, zdrajców, morderców, żyjących z pracy innych ,*

*bezbronne niemowlęta i bezradnych staruszków.*

*\**

*Wszędzie widzę mężczyzn i kobiety,  
Widzę serdeczną przyjaźń między filozofami,  
Widzę konstruktywność mojej rasy,  
jej osiągnięcia, wytrwałość i pracowitość,  
pozycje społeczne, kolory skóry, niecywilizowanych i cywilizacje,  
jestem wśród nich, mieszam się nimi bezkrytycznie,  
I pozdrawiam wszystkich mieszkańców ziemi.*

## **11.**

*Kimkolwiek jesteś!  
Córka lub synem Anglii!  
Pochodzisz z potężnych słowiańskich plemion i imperiów! Rosjaninem z Rosji!  
Jesteś czarnym, Afrykańczykiem, z boską duszą, duży, pięknie zbudowany,  
o szlachetnych proporcjach, jesteście sobie równi!  
Ty, Norwegu! Szwedzie! Duńczyku! Islandczyku! Ty, Prusaku!  
Ty, Hiszpanie z Hiszpanii! Ty, Portugalczyku!  
Ty, Francuzko i Francuzie z Francji!*

\*

*Ty, Belgu! Ty, Holendrze, miłośniku wolności! (pochodzenie  
mam holenderskie)*

\*

*Ty, solidny Austriaku! Ty, Lombardzie! Węgrze! Czechu! Chłopie z*

*Styrii!*

*Ty, sąsiedzie znad Dunaju!*

*Ty, robotniku znad Renu, Łaby lub Wezery! Ty,  
pracująca kobieto także!*

*Ty, Sardyńczyku! Bawarczyku! Szwabie! Sasie! Wołosie!*

*Bułgarze!*

*Ty, Rzymianinie! Neapolitańczyku! Ty, Greku!*

*Ty, zwinny matadorze na korridzie w Sewilli!*

*Ty, góralu żyjący swobodnie na Taurusie lub Kaukazie!*

*\**

*Ty, pastuchu, pilnujący pasących się klaczy i ogierów!*

*Ty, pięknie zbudowany Persie w galopie strzelający z łuku  
do tarczy!*

*Ty, Chińczyku i Chinko w Chinach! Ty Tatarze w Mongolii!*

*Wy, kobiety świata, wypełniające swe obowiązki!*

*Ty, Żydzie wieczny tułaczu, podstarzały, podejmujący ryzyko, aby  
jeszcze jeden raz stanąć na ziemi syryjskiej!*

*Wy, wszyscy inni Żydzi, czekający we wszystkich krajach na  
waszego Mesjasza!*

*Ty, Armeńczyku pełen zadumy rozmyślający nad dopływem Eufratu!*

*Ty, wpatrujący się ruinom Niniwy!*



*Ty, wspinający się na górę Ararat!*

*Ty, pielgrzymie o obolałych stopach, witający odległe błyszczące  
minarety Mekki!*

*Wy, szejkowie rządzący swoimi rodzinami i plemionami  
wzdłuż drogi od Suezu aż do Bab-el-mandeb!*

*Ty, plantatorze oliwek uprawiający je na polach Nazaretu, Damaszku-  
lub nad jeziorem Tyberiadzkim!*

*Ty handlarzu z Tybetu, handlujący w głębi lądu lub targujący się  
w sklepach Lhassy!*

*Ty, Japończyku lub Japonko! Ty, żyjący na Madagaskarze, Cejlonie,  
Sumatrze lub Borneo!*

*Wy, wszystkie kontynenty, Azja, Afryka, Europa, Australia, bez różnicy  
z którego miejsca!*

*Wy, wszyscy z niezliczonych archipelagów morskich!*

*I wy, ze wszystkich następnych stuleci, słuchacie mnie!*

*\**

*I wy, wszyscy i każdy, których nie wymieniłem, was to też  
dotyczy!*

*Żyćcie sto lat w zdrowiu i szczęściu, najlepsze życzenia ode mnie i Ameryki!*

*\**

*Każdy z nas jest potrzebny!*

*Każdy z nas jest w niczym nieograniczony – każdy z nas ma prawo  
aby tutaj być,*

*Każdy z nas ma odwieczne prawo bycia na ziemi,*

*Każdy z nas tutaj jest tak samo boski jak każdy inny.*

## **12.**

*Ty, Hotentocie z mlaskającym językiem! Wy, hordy włochate!*

*Wy, niewolnicy złani potem lub zalani krwią!*

*Wy, ludzkie postacie, z nieprzeniknionym, przerażającym  
wyrazem twarzy brutali!*

*Ty, biedny koboo\*, wzgardzony przez wzgardzonych, patrzących  
z góry na twój łamliwy język i duchowość!*

*Ty, karle z Kamczatki, Grenlandczyku, Lapończyku!*

*Ty, Aborygenie, nagi, czerwony, okropny, z wystającą wargą, pełzasz  
za jedzeniem!*

*\**

*Ty Kafrze\*, Berberze, Sudańczyku!*

*Ty, wychudły, nieokrzesany, niewykształcony Beduinie!*

*Ty, zakazony tłumie w Madrasie, Nankinie, Kaubulu, Kairze!*

*Ty, prymitywny wędrowcze z Amazonii! Ty, Patagończyku! Ty, Fidżyjczyku!*

*Każdego z was i wszystkich razem was szanuję!*

*Złego słowa przeciwko wam i miejscu waszym nie powiem!*

*(W odpowiednim czasie się spotkamy, gdy on nadejdzie).*

**\*Koboo - nazwa XIX wieczna mieszkańców mokradeł w Indonezji.**

**\* W XIX i XX wieku biali koloniści z południowej Afryki używali słowa „Caffre”, aby scharakteryzować czarną większość regionu jako gorszą rasę pochodzenia afrykańskiego.**

**13.**

*Moja dusza przeleciała nad ziemią ze zrozumieniem i determinacją.*

*Szukałem równych sobie i kochanków i znalazłem ich gotowych  
czekających mnie we wszystkich krajach.*

*Myślę, że jakaś boska moc zrównała mnie z nimi.*

*Wy, mgły, myślę, że uniosłem się z wami, uleciałem na*

*dalekie kontynenty i opadłem nie bez powodów,*

*Wydaje mi się, że razem z wami wiałem wiatry;*

*Wy, wody, razem z wami obmywałem wszystkie brzegi,*

*Byłem w każdym korycie rzeki, w każdej cieśninie na tym  
globie,*

*Stałem mocno na półwyspach i w górach wysokich*

*krzycząc:*

*\**

*Salut au Monde!*

*Do którekolwiek miast światło lub ciepło dociera, ja także tam*

*dotrę,*

\*

*Do którekolwiek wysp, dolatują ptaki, ja także tam dolecę.*

*Do was wszystkich w imieniu Ameryki.*

*Wysoko prostopadle rękę podnoszę, czynię znak,*

*Dla wszystkich po mnie abym zawsze był widoczny*

*We wszystkich miejscach i domach ludzi.*

Autograf Walta Whitmana, wykonany czarnym tuszem na białym tle. Pismo jest płynne i charakterystyczne dla Whitmana, z wyraźnymi, długimi pociągami.

Autograf Walta Whitmana, fot. wikimedia commons

**Tłumaczenie z języka angielskiego: Adam Lizakowski. Pierwodruk poematu; Miesięcznik Społeczno- Kulturalny RAZEM, wydawany w San Francisco, Kalifornia, 1987. Copyright: Adam Lizakowski; San Francisco, Chicago, Pieszyce, 1987- 2020.**

\*

**Zobacz też:**

*Bob Dylan w przekładzie Adama Lizakowskiego*

---

# List Do Generała Suttera

Adam Lizakowski (*Chicago-Pieszyce*)



Generał John A. Sutter (1803-1889), ok. 1875 r., fot. The Huntington Library, Art Museum and Botanical Gardens

Dwadzieścia lat myślę o tym, jak rozpocząć list

o tobie, o twym życiu generale. Kto nie zna ciebie,

kto nigdy o tobie nie słyszał,

komu łzy nie płynęły przy czytaniu

historii twojego życia,  
która jest żywą historią Kalifornii,  
miasta San Francisco, nie ma prawa nazwać się

## **K A L I F O R N I J C Z Y K I E M**

Kto nie widział twojego fortu w dolinie Sacramento,  
kto nie chodził ulicami miasteczka Colomy, nigdy  
nie zrozumie, czym była i jest Kalifornia dla milionów  
ludzi żyjących marzeniem o lepszym jutrze, lepszym życiu.  
Próbowałem coś napisać do ciebie, a jednak dwadzieścia lat  
mi to zabrało.

## **J O H A N N I E A U G U Ś C I E S U T E R Z E**

Ty  
z pokładu „Esperance” – pierwszego parowca kołowego  
z kwadratowymi żaglami  
dumnie wpływającego do Nowego Yorku,

Ty  
bankrucie, uciekinierze, złodzieju, włóczęgo,  
oszuście, mógłbym powiedzieć, że cię kocham.

Uciekłeś z Europy jak szczur.

Kogo  
mogłeś okraść, to okradłeś,

kogo

mogłeś oszukać, to oszukałeś,

ktokolwiek

pokładał w tobie

jakiegokolwiek

nadzieje, zawiódł się,

i tak rozpoczyna się cudowna podróż, krwawe życie,

przeklęty los, tysiące wylanych łez, śmierć najbliższych

generała Johanna Augusta Suttera.

Jest niedziela.

P s s s s s s s s s s s s s s s s s

Ty

w Nowym Jorku w 1834 roku - rozbitku ze Starego Świata,

Ty

w Nowym Świecie odkrytym dla życiowych rozbitków,

malkontentów, nieudaczników, włóczykijów, straceńców,

którzy całe swoje życie postawili na jedną kartę,

których po świecie gnała romantyczna pasja,

młodzieńcza naiwność, gorąca krew, pragnienie bogactwa,

łatwego życia, taniego wina, pięknych i cudzych kobiet,

Ty

wśród nich, tych niepokornych, pierwszych socjalistów  
z Niemiec, pierwszych mistyków z Rosji, pierwszych  
zwolenników systemu falansterów z Francji,

Ty

wśród ideologów, których szczują wszystkie policje Europy,  
wśród wielkich umysłów epoki i wśród ludzi, którym brakuje  
piątej klepki, wśród bandytów z portów Londynu czy  
Amsterdamu,

Ty

wśród chłopów ze Szkocji i Irlandii, głodującej Skandynawii,  
upośledzonych gospodarczo Włoch, wśród greckich, polskich,  
węgierskich patriotów, ofiar wojen napoleońskich,

Ty

z lekkim sercem opuszczasz generale Nowy York,  
wschód Ameryki, w dolinie Missisipi też nie zagrzejesz  
długo miejsca, skierujesz się na

## **Z A C H Ó D**

Tam,

gdzie miliony bizonów beztrosko gryzie trawę,

gdzie

tysiące chętnych pojechały szukać bogactwa i mało kto wrócił,



jedni

umarli na prerii, drudzy z głodu, z pragnienia,

jedni

umarli na pustyni z gorąca, drudzy w górach z zimna,

innym

Czerwone Twarze zdjęły skalpy z głów.

Generale,

tobie Indianie uratowali życie, oni pierwsi powiedzieli ci

o tym zaczarowanym słowie - miejscu magii i cudowności:

## **K A L I F O R N I A**

Kalifornia od chwili jej odkrycia stanowiła część korony

hiszpańskiej. Była jedną z prowincji wicekrólestwa

hiszpańskiego w Meksyku. W 1839 roku stolicą prowincji

było Monterey liczące 35 tysięcy mieszkańców, w tym

5 tysięcy białych i około 30 tysięcy Indian. Ty jednak

generale wybierasz dolinę Sacramento, osiedlasz się

przy ujściu rzeki Rio de los Americanos, zakładasz

własne państwo - Nową Helwecję, dochodzi do potyczek

z Indianami, wkraczasz na ich tereny łowieckie.

Chwycili za broń, nocami podpalali stogi i stodoły,

za dnia mordowali samotnych pasterzy, kradli bydło,

nie było dnia, żeby nie przyniesiono trupa zabitego  
farmera, trupa oskalpowanego drwala lub plantatora,  
po wielu trudach i wysiłkach żyjesz jak król,  
zwą cię cesarzem, tysiące ludzi pracuje u ciebie  
i dla ciebie, niczego ci nie brakuje, chociaż dużo pragniesz,  
ludzie o tobie mówią, że jeździsz na białym koniu, siodło  
masz ze złota, wędzidło także złote, tak jak i strzemiona,  
i ostrogi, nawet podkowy konia są ze złota.  
W kraju, w którym mieszkasz, panuje nieustające święto,  
wódka całymi dniami leje się strumieniami.  
Wielu widzi w tobie przeznaczenie, ojciec Gabriel,  
opiekun Indian, którego nauki są znane wśród dzikich plemion,  
bo żyje pośród Siuksów, Osagów, Komanczy, Czarnych Stóp,  
Węży, Niedźwiedzi, Pum, którego słuchają jak wyroczni,  
powiedział: Kapitanie  
(wtedy Sutter był jeszcze kapitanem)  
kawał historii świata spadło na twoje barki,  
ale ciągle mocno się trzymasz. Unieś głowę wysoko, wysoko,  
rozejrzyj się wokół. Popatrz na te tysiące młodych i starych ludzi  
przybywających tu codziennie, aby pracować nad zdobywaniem

**S Z C Z Ę Ś C I A**

Z Europy sprowadzasz nowe nasiona, sadzonki drzew owocowych, zakładasz plantacje bawełny, ryżu, indy, winnice, pojawiają się inni biali zwabieni twoim bogactwem i sławą, głównie Rosjanie, Niemcy, Irlandczycy, im dajesz pracę, zatrudniasz zgodnie z ich umiejętnościami, codziennie w porcie San Francisco ładują na statki twoje konie, skóry, talk, pszenicę, mąkę, kukurydzę, suszone mięso, sery, masło, deski, wędzonego łososia, liczne stada pasą się na soczystych łąkach, sady obfitują w owoce, w warzywnikach rosną jarzyny ze starego świata obok roślin tropikalnych, rzędy magnolii, palm, bananowców, drzew kamforowych, pomarańczy, cytrusowych drzewek. Jadło jest znakomite, czego tylko ludzkie podniebienie zapragnie, zakąski, pstrągi i łososie z miejscowych rzek, szynka pieczona na szkocką modłę, udziec sarni, łapy niedźwiedzi, wędzony ozór, faszerowany prosiaczek posypany mączką z tapioki, reńskie, a także trochę starych win francuskich, które przejechały pół świata i nie zwietrzały, tak o nie dbano.

Do stołu podają najpiękniejsze kobiety z Hawajów i innych wysp,  
śliczne Indianki i Metyski, przygrywa orkiestra hawajska,  
na końcu, gdy wraca odwaga i pewność siebie, jak każdy emigrant,  
któremu się udało, po 14 latach zapraszasz do siebie rodzinę.

## **R O D Z I N A**

W cieniu włoskiej altanki, głaszcząc ulubionego psa,  
myślisz o rodzinie, zostawiłeś ją w nędzy:  
żonę, trzech synów i córkę,  
lecz przez te wszystkie lata o nich myślałeś,  
jak każdy emigrant umierałeś za nimi  
z tęsknoty w wielkiej samotności będąc częścią zwariowanego  
świata ludzi i przedmiotów, marzeń i snów

wymieszanych z rzeczywistością,  
gdy nadarzyła się okazja, pomogłeś, zawsze pomagałeś,  
czas pomyśleć o rehabilitacji, o honorze, nazwisku,  
zanim oni do ciebie dotarli, zanim postawili stopę  
na kalifornijskiej ziemi, musieli spłacić twoje długi  
w starej ojczyźnie, unieważnić hańbiące wyroki,  
wypolerować twój portret w oczach  
ludzi, którzy jeszcze żyli, jeszcze cię pamiętali,  
pomogły w tym twoje amerykańskie dolary,  
które wysyłałeś z każdym miesiącem  
więcej i więcej, i więcej, i więcej  
aż zostałeś uznanym i szanowanym człowiekiem,  
cieszącym się zaufaniem największych banków świata,  
lecz  
stała się rzecz straszna, sam diabeł spiskował,  
wszelkie moce piekielne się sprzysięgły przeciwko tobie,  
teraz to widzę i rozumiem i nie ma nic w tym dziwnego,  
że na stare lata zostałeś najlepszym interpretatorem Apokalipsy,  
pan Marszall

cieśla z New Jersey, budujący młyny dla ciebie, odkrył złoto w nowo wybudowanym  
tartaku w Colomie, na twojej ziemi odkryto żyłę złota, górę złota, morze złota,

kopalnie złota, w jednej chwili stałeś się najbogatszym człowiekiem świata, to co się stało później, było straszne, złoto cię zrujnowało, złoto zabiło marzenia, złoto, przeklęte złoto, nie możesz tego zrozumieć mów:

## G O R A C Z K A Z Ł O T A



Kobieta z trzema mężczyznami poszukująca złota podczas kalifornijskiej gorączki złota, fot. Wikimedia Commons

Ludzie stracili rozum, marynarze uciekali z okrętów, żołnierze z wojska, każdy zamykał swoją chałupę, barak, farmę, warsztat, miasta się wyludniły, stanęły młyny, w jedną noc okradziono mnie ze wszystkiego, garbarnie były puste, skóry gniły w kadziach, pastuchy opuszczali stada, plantatorzy plantacje, zboże gniło w polu, owoce w sadach, w stajniach, oborach stały głodne zwierzęta, wszyscy poszli w góry płukać złoto.

Och Generale!!!

Inni dorabiają się fortuny, nic nie robisz, nie stawiasz przeszkód,

z obojętnością patrzysz, jak zabierają i dzielą twoją ziemię,

nadają sobie tytuły własności, sporządzają nowe mapy,  
dewastują twoje mosty, kanały, stawy, śluzy, drogi, młyny,  
kto ci za to wszystko zapłaci, kto ci odda choćby małą część,  
okradziono cię ze wszystkiego, twoje życie stało się piekłem,  
tłum krzyczał:

## **SAN FRANCISCO > KALIFORNIA > SUTTER**

Te trzy słowa obiegały cały świat, znano je wszędzie, w najbardziej oddalonych zakątkach. Z każdego miejsca na kuli ziemskiej wyruszali pojedynczy ludzie, wspólnoty, klany, bandy. Wyruszali do Ziemi Obiecanej, gdzie wystarczyło schylić się, żeby podnieść masę złota, pereł, diamentów, wszyscy dążyli do jednego celu:

## **E L D O R A D O**

Grasują bandyci i złodzieje, walka o życie to prawo silniejszego, strzały w plecy, wieszanie na laso, kopanie leżącego, szeryfem jest pistolet kaliber 45, prawem mocna pieść, wiadomość o złocie jest szybsza od ptaka i konia, ten czy tamten już wyjechał, inni jadą teraz w ślad za nimi, a następni pojedają po nich. Następni, następni, następni... Wielu dorobiło się już milionów. Wszędzie tam jest złoto, zbiera się je łopatom, wystarczy tylko się schylić, mieć mocne plecy do znoszenia worków ze złotem z gór do miasteczek, aby tam zamienić je na whisky i dziewczyny. Złoto to rzecz przeklęta, przekłęci ci wszyscy, którzy tutaj przyjechali, którzy tu przyjeżdżają i ci, którzy będą je wydobywać, bo większość z nich zginie. Życie staje się piekłem, ludzie zabijają się, mordują. Wszyscy oszukują, kradną.

Wielu zwariowało albo popełniło samobójstwo i to dla

## **Z ł o t a**

cały świat generale przewalił się przez twój dom,  
twoją ziemię, twoje życie. Tysiące razy myślałeś,  
ile to wszystko jest warte, jak długo gorączka złota może trwać,

ile milionów dolarów wydobyto z twojej ziemi,  
ile tysięcy ludzi bezprawnie zamieszkało na twoim terytorium,  
ilu z nich zostało pochowanych w twoich ogrodach, sadach, na polach,  
ilu z nich złoto uczyniło mordercami, pijakami, straceńcami,

## **Z ł o t o**

przynosi nieszczęście, teraz jesteś tego pewien.

## **A N T Y C H R Y S T T O Z Ł O T O**

Do nóg Generała pada pewna Rosjanka, podczas gdy on komentuje wizje świętego Jana i opowiada epizody ze swojego życia. On, najbogatszy człowiek świata, teraz nie ma nic, jego życie, niedole, niedostatki, cała energia, wola, wytrzymałość, nadzieje, wszystko było niepotrzebne, on nie ma nic, to, co tak kochał: książki, papiery, instrumenty muzyczne, broń, narzędzia, skóry niedźwiedzi i pum, futra, kły morsów, fiszbiny wielorybów, wypchane ptaki, kolekcje motyli, indiańskie ubiory i wyroby, kolekcje bursztynów, szlachetnych kamieni, wszelkiego rodzaju minerałów, wszystko obróciło się w popiół.

Złoto północnej Kalifornii było jego, teraz wszystko obróciło się  
w kupkę gorącego popiołu, wszystko to, co było najdroższe,  
co reprezentuje życie i jest dumą człowieka, uleciało,  
ze szczytu góry spoglądałeś na ogromny kraj, który użyźniłeś,  
ogarnięty był grabieżą i ogniem, dochodziły do twoich uszu  
odgłosy strzałów i ciżby, to co było ci tak bliskie i drogie,  
zamieniło się w

## **P O P I O Ł Y I Z G L I S Z C Z A**

We wrześniu 1850 roku Kalifornia wchodzi w skład Konfederacji Stanów Zjednoczonych, lecz Waszyngton jest daleko, na terenach generała powstało dziesięć wielkich miast, m.in. San Francisco, Sacramento, Fairfield, setki farm, 1 500 miasteczek i osad, nie można temu zaradzić, nic zrobić, adwokaci fałszują dokumenty, wystawiają nowe akty własności, tylko w samym Nowym Yorku powstało 65 spółek zajmujących się eksploatacją złóż, zebrany kapitał sięgał milionów dolarów.

Żona Generała

umarła na progu domu tuż przed przywitaniem się z nim, córka Mina jest w ciąży, przeszła wstrząs nerwowy, ma trudności z mówieniem, syn Victor wyruszył w drogę powrotną do Europy, ale jego statek zaginął gdzieś na morzu koło Cieśniny Magellana, drugi syn Artur zginął broniąc swojej farmy, najstarszy syn Emil - adwokat - popełnił samobójstwo w jakiejś komórce nie będąc w stanie znieść presji otoczenia.

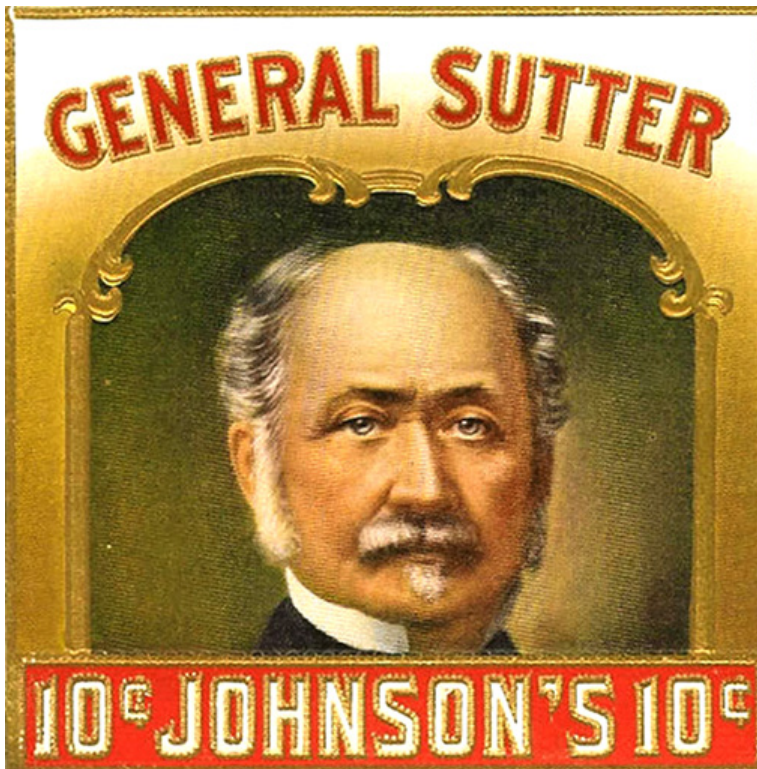
Generale

tak się kończy twoja historia, twojej Kalifornii, Nowej Helwecji, tak się kończy



historia emigranta ze Szwajcarii, najbogatszego człowieka świata z Kalifornii, żyjącego na zasiłku rządowym, starego wariata, który podał do sądu rząd Stanów Zjednoczonych o odszkodowanie na sto milionów dolarów.

Tak się kończy historia najbogatszego człowieka świata. A to dopiero niezły żart!



Etykieta papierosów z wizerunkiem generała Suttera

Ps.

Generał August Suter (Sutter) zmarł w wieku 73 lat 17 czerwca o trzeciej popołudniu w 1880 r. Amerykański Kongres nigdy nie wydał ani orzeczenia, ani oświadczenia przyznającego mu - jako prawowitemu właścicielowi - ziemię, na której odkryto złoto. Generał nie otrzymał odszkodowania za poniesione straty. Również nikt z jego rodziny nigdy nie upomniął się o jakąkolwiek rekompensatę. Jeszcze można działać, jeszcze można żądać. Kto chce złota? Kto chce złota?

### **Źródła:**

*Poemat jest z tomu Adama Lizakowskiego p.t. „156 Listów poetyckich z Chicago do Pieszyc”, wydane przez Urząd Miasta i Gminy Pieszycy w 2012 r.*

*Powyższy tekst został oparty na książce „Złoto” Blaise Cendrasy wydanej przez Noir sur Blanc w 1999 roku w Szwajcarii.*

*Thank you very much Mr. Cendras.*

---

## **Zobacz też:**

*W pogoni za złotem*

---

# **Otruty kwiatem**



Marcin Kurek czyta poemat „Oleander”,  
źródło: kultuba.info

## Jacek Bierut

Widzialny dowód na istnienie południa - tak w „Oleandrze”, poemacie uhonorowanym nagrodą Kościelskich (2010), jego autor, Marcin Kurek, określa przywiezioną do Polski podstępłą gałązkę. Od niej bierze się całe nieszczęście, ale też całe szczęście, czyli pomysł na książkę, od razu dodajmy, książkę bardzo udaną, nagrodzoną słusznie (nie słyhać sprzeciwów, co w ostatnich latach rzadko miało miejsce po ogłoszeniu werdyktu szanownego jury), książkę gotową do wywołania fermentu w coraz mniej pewnej sobie (a właściwie narzuconych sobie ograniczeń) współczesnej polskiej poezji. Książkę, która jest widzialnym dowodem na to, że wciąż można pisać lekko i przede wszystkim *znaczeniem*, i nie być przy tym niczym pogrobowcem.

Marcin Kurek debiutował arkušem poetyckim („Monolog wieczorny”, OKiS, Wrocław) w 1997 roku. Później ogłaszał swoje wiersze (przez stosunkowo krótki czas) w prasie literackiej, żeby jako poeta zamilknąć na dekadę. To milczenie rekompensuje czytelnikom w pewnym stopniu jego praca translatorska. Tłumaczenia z francuskiego, hiszpańskiego i katalońskiego. Bunuel, Rimbaud, Roche. Przede wszystkim Brossa, za przekład którego nagrodziła tłumacza „Literatura na Świecie”. Ale jak widać, ciągnie (na szczęście) wilka do lasu, znaczy w tym wypadku ciągnie owcę od lasu.

Bo wielkim walorem tego poematu w siedmiu pieśniach jest właśnie jego przewrotność. Tu się swobodnie przekracza, wydawałoby się nieprzekraczalne dziś granice. Tu się siada na granicznym słupku między epokami i z przyjemnością majta nogami. Tu się powraca do wysokiego modernizmu, jak do trampoliny, dzięki której udaje się przekroczyć ostre linie brzegowe, w które poezja się wyposażyła po jego odrzuceniu. Jak w balecie, dwa kroki w tył, żeby można było zrobić trzy do przodu (bez wartości dodatkowej, że w balecie równie często bywa odwrotnie). Chodzi o samą formę, pola tematyczne i sposoby ich realizowania, ale także na prostej zasadzie, powrót do starych mistrzów z nowym oprzyrządowaniem. Już samo motto urzeka. Jest bardzo ryzykowne, bo to początek „Upióra” Mickiewicza, czyli żelazny początek wszystkich wydań jego „Dramatów” bądź „Utworów dramatycznych”. *Serce ustało...* Ryzykowność polega na tym, że kiedy się je czyta, będąc tuż przed lekturą „Oleandra”, czyli tak, jak w tym kontekście powinno się je czytać, można odnieść

mylne wrażenie, a nawet uprzedzić się do książki. Że oto następny *romantyczny* (nadwrażliwy, skrajnie egocentryczny i pełen emocji) poeta ogłasza nam swoje dzieło. Szybko jednak czytelnik się przekonuje, jak to motto jest celne, i w jak przewrotny sposób zostało użyte. Dosłowność, merkantylna (w nienacechowanym – pierwszym, tak jak słów używa Kurek – znaczeniu tego słowa, czyli nastawiona na czysty, dobry zysk, niekoniecznie własny) dosłowność – to jest jedna z wielu zalet tej książki.

Akcja poematu bowiem to zapis zupełnie zwariowanego i zarazem całkowicie przypadkowego sposobu na śmierć. Sposób jest o tyle *przyjazny* dla czytelnika, że osoba mówiąca w tych pieśniach do samego końca ma mnóstwo czasu (siedem regularnych pieśni) na zdanie relacji i dysponuje absolutnie niezachwianym i precyzyjnie funkcjonującym umysłem, wyposażonym w sprawny, konsekwentnie budowany i przejrzysty aparat językowy. Cóż to za sposób na śmierć? Sądzę, że na tym motywie spokojnie można zbudować dobry kryminał, ale także ciemną, *rodzinną* powieść psychologiczną, ze zbrodnią doskonałą w tle. Otóż jedną z przewrotności tej książki jest to, że odwraca ona wielokrotnie i często z dobrymi skutkami realizowany motyw podróży na południe. Popularny topos odkrywania *śródziemnomorskości* na żywo w okolicznościach architektury i natury, ale także jej licznych śladów w naszej *bałtyckości*. W tej książce przewrotnych realizacji z południa się wraca. Równie urokliwie. Opisy historii miejsc, zajmujących podmiot liryczny, są naprawdę ciekawie prowadzone, bez zbędnego przegadania (zagadywania czytelnika, epatowania szczegółem, światowością i odległością), delikatnymi, ale mocnymi i wyrazistymi kreskami. Ale to jest tylko jeden z wielu planów tej książki. Najważniejsze jest to, że powracający wiozą z bagażniku gałązkę oleandra, dla zachowania jej przy życiu wsuniętą do butelki z wodą. Oleander to roślina ozdobna – to jest jej podstawowa funkcja, ale jako że książka jest przewrotna, należy w tym wypadku dodać – o silnych właściwościach trujących. Po powrocie gałązka wędruje w inne miejsce, znika nam z pola widzenia, ale właśnie to (znów przewrotność – brak podstawowego rekwizytu) powoduje, że zagrożenie wzrasta. Nieświadomy bohater pije wodę z tej butelki. Prawdopodobnie fakt ten nie pociągnąłby za sobą żadnych skutków, gdyby nie to, że zostaje mu uświadomiony. Wbrew pozorom, nie panika staje się osiłą napędową poematu. Pojawiają się znacznie ważniejsze dominanty, świadomość, zakotwiczenie w kulturze, w rodzinie, ale także filmy z własnej przeszłości. Tak zaczyna się

konstrukcyjny majstersztyk. Najważniejszą jego zasadą jest realizowany z precyzją (właściwą – jak by inaczej – hispanoamerykańskiej prozie – kojarzy się oczywiście tłumaczony przez Kurka David Huerta) podział czasowy. Tu – umieranie, i Tam – czyli wędrówka przez własne życie i kulturę. Oba plany czasowe niezmiernie barwne i bogate. Migotliwe. Nakładają się na siebie w rytmicznych sekwencjach.

Tu (Teraz) – nic nie boli, nie ma żadnych namacalnych zwiastunów szybkiego końca, ale niepokój narasta. Następuje szybkie poszukiwanie informacji. Przede wszystkim źródłem jest internet, ale zaczynają się telefony, dość nerwowe (w wymiarze próby zmieszczenia się w dostępnym przewidywalnym czasie) poszukiwanie specjalistów na całym świecie. Tu – pojawia się i znika, wchodzi w stadia, wciąga czytelnika swoją dosłownością i realnie wertykalizowanym zagrożeniem nieuniknionego. Tu – jest człowiecze dotykalnie i narastająco. Bohater zachowuje jednak pewną dozę spokoju i dystansu, przez co nie zamęcza czytelnika egzaltacją i spodziewaną niebawem stratą. O nie. *Otruty kwiatem!* Właśnie tak to należy traktować. Nie tylko niespodziewane naturalne piękno, ale i pewien (bardzo przewrotny) surrealistyczny realizm sytuacji. Wszystko tu raczej kwitnie, zakwita, niż więdnie i usycha.

Tam (Kiedyś). Książka nie byłaby tak ciekawa, gdyby nie barwność, złożoność i piętrowość jej, wydawałoby się, drugiego planu. Samo umieranie, nawet tak zaskakujące, nie jest w dzisiejszej kulturze atrakcyjnym tematem. Okazuje się, że warto je nałożyć na inne umierania i inne życia. Zobjektywizować. Za to wędrówki po niej samej, po dzisiejszej kulturze i jej źródłach, a także po swoich osobistych doświadczeniach z nią i z tak zwanym światem, są ciekawe jak najbardziej. I tak drugi plan staje równoważnym, a nawet wysuwa przed swoje konstrukcyjne umocowanie. Rozrasta się. Pęcznieje. Puchnie. Wychodzi od Miłosza i Herberta, ale raczej bardziej od postaci, niż ich dzieła. Pojawiają się miejsca, w których miały miejsce epizody w ich życiu. I w niektórych z tych miejsc pojawia się nasz bohater. Ale – przewrotnie, a jakże – ważniejsze są inne miejsca, w których dotarła do niego wiadomość o ich śmierci. Vence. Gombrowiczowskie Vence. Hotel na Antón Martín. Pojawia się tu przemyślna gra z ich poetykami i z samym czasem. Gra na polu znaczeń i w warstwie budowlanej. Bo w tej książce chce się mówić językiem adekwatnym. Nie własnym, tylko inżyniersko dopasowanym do zadań. Realizacja odbywa się na zasadzie ustanowienia języka na pozycjach precyzyjnej (choć jak najbardziej literackiej) komunikatywności (bo ważniejsze od tego, jak się mówi tak w

ogóle, jest co się mówi i jak to, akurat to, zostaje powiedziane), by pozwolić mu dryfować (narastać aż do zwieńczenia w ostatniej Pieśni) w jawny (i bardzo udany) eksperyment formalny w brzmieniach postashberowskich, na wskroś nowoczesnych. Ten eklektyzm idzie dalej. Widać go świetnie w wątkach muzycznych, gdzie jawne zainteresowanie bohatera wykonaniami najlepszych orkiestr symfonicznych miesza się z posłuchiwaniami Toma Waitsa (w dodatku wczesnego! czyli tego znacznie mniej wyrafinowanego) lub cytowaniem Lecha Janerki (również wczesnego, punkowego, z czasów Klausa Mitffocha). Także doświadczenia wysokie miesza się tu z niskimi, co pozwala uchylać się w chwilach nadmiernego patosu i umożliwia czytelnikowi pozostawać wciąż po tej samej (naturalnej) stronie książki, co jej bohater. Bohater bowiem ani przez chwilę nie stara się być *wielkim poetą*. Tu się ani przez monet nie myli poezji z poetyckością. Osoba mówiąca w wierszu (zupełnie nie jak świadomy swoich środków i ich możliwości jej autor) ani przez moment nie stoi ponad książką. Pozycja autora i pozycja mówienia, to są różne płaszczyzny, co wcale nie jest takie częste we współczesnej polskiej poezji. Może dlatego książka daje się czytać tak naturalnie, tak nieliteracko. Jako swoisty zapis intuicji, pamięci i łączenia skojarzeń. To jest duży walor tej książki. Czytelnik ani przez chwilę nie jest zmuszony do szukania drzwi w murze oddzielającym go od niej, bo nie ma żadnego muru. Są przestrzenie, z wprawą napisanie przestrzenie, nasze, północne (Polska jako kraj drzew), i jak się okazuje, nasze południowe. Bo w tej książce wszystko jest nasze, czytelników, czytamy i mamy.

Ale to wcale nie znaczy, że książka nie zadowoli czytelnika zaawansowanego. Nawet dość przemyślnie sposoby na używanie cytatów i kryptocytatów (Eliot, Auden, Miłosz) nie zaburzają toku potocznej i pełnej satysfakcji lektury. Wzbogacają ją tylko i pozwalają mnożyć percepcyjne plany. Idiomy z hiszpańskiego (w spolszczeniu siłą rzeczy nieco zmodyfikowane), brzmią tu jak wdzięcznie użyte cytaty. Na przykład „Cały czas świata należy do mnie”. Pojawiają się momenty autorecenzji („Nie potrafię już mówić ciemniej”). Stare motywy (choćby ten Schopenhauerowski: *Czy to nie szaleństwo wierzyć w istnienie / świata przed naszym urodzeniem?*) z gracją poddawane są udanemu liftingowi, do czego przecież literatura sprowadza się od dziesięcioleci. Słynna *smuga cienia* dostaje nową, mniej rozpaczliwą twarz (*Skąd to niewiarygodne / przywiązanie do rysów własnej twarzy, z chwili, kiedy się miało dziewiętnaście lat?*). Wszystko, włącznie ze śmiercią, jest relatywizowane. Nawet

jedno zdanie (*Ile kosztuje słowo do Polski?*), zaczerpnięte z jakiegoś zabytkowego przewodnika z czasów przedmailowych, z czasów telegramu, pojawia się raz w brzmieniu wysokim, raz w niskim, w funkcji fanfary lub w dźwięcznej funkcji wentyla bezpieczeństwa. Odwracane są nawet nowsze, niewytarte jeszcze motywy, jak choćby ten (z Sosnowskiego) z człowiekiem budzącym się na krze w delcie u samego ujścia wielkiej rzeki, gdzie tym razem do rzeki się wpływa z otwartego morza, i to wpływa nie byle co, tylko ciało Brodskiego (choć można też domniemywać, że to ciało Petrarcki) wymyte z (spod?) cmentarza usytuowanego na włoskiej wysepce. Również same obserwacje są relatywizowane, opisy urokliwych obrazków (z  *pewnością ktoś powiedział to przed tobą*). Nawet sny idą w wielu planach, w części po polsku i w części po hiszpańsku. A w języku, korzystającego z prostych konstrukcji i używającego słów w ich pierwszym znaczeniu, dochodzi się do zagmatwań (czyli przewrotnie, uproszczeń): *Czy skowyt to jedyny sposób, by powiedzieć coś własny mi słowami?*

„Oleander” to książka, która cieszy. Jej autor zapewne zostanie wpisany w szereg poetów klasycyzujących, ale to mu nie powinno zaszkodzić, gdyż jego klasycyzowanie polega głównie na świadomym używaniu zastanych środków w celach z gruntu nowoczesnych. A tradycja, z której czerpie, jest bardzo szeroka.

Marcin Kurek

### **Oleander (fragment)**

Będzie tak samo: dwie topole, lichy

rdest i żywotnik przy murze, skrzypiąca

furtka, rdza. Jak to się stało,

jak doszło do tego, że leżę teraz

martwy na podłodze? Martwy?

Ale czy można umrzeć

w równie głupi sposób: otruty wodą

z plastikowej butelki, do której wczoraj

wstawiono uciętą gałązkę?

Jest koniec października, deszcz

pada od trzech dni. Słucham adagia

z dziewiątej Brucknera,

a potem podchodzę do okna

i w tej samej chwili granatowy boeing

i połyskliwa sroka krzyżują swój lot

na niebie w kolorze brudnego lukru.

*A co pokażemy, sroczo?*

Wszystko zaczęło się w tamtą sobotę,

kiedy przyszła wiadomość

o śmierci Czesława Miłosza,

a ty siedziałeś na ławce

w Vence patrząc, jak Z. hušta się

na drewnianym koniu, a płatany

na skwerze zrzucają skórę

aż do kości.

Kilka lat wcześniej zaskoczyło cię

inne, zapowiedziane odejście.



Był wtorek, od kilku dni  
kobiety pod kościołem  
wieszczą śmierć największego  
Polaka, a M. zdjęta przepowiednią  
modliła się za papieża,  
który miał jeszcze przeżyć  
prawie siedem lat.

Tego dnia, w pokoju na ósmym piętrze,  
wśród półek z książkami,  
obok stosu niebieskich teczek  
opasujących kserokopie  
gromadzone miesiącami w tanim hotelu  
na Antón Martín,  
obudziłeś się o siódmej i pamiętając  
o proroctwie kobiet włączyłeś radio,  
które podało, że nad ranem  
w Warszawie umarł  
Zbigniew Herbert.

„Herbert nie żyje?” zapytali jednocześnie  
D. i T., kiedy dwa tygodnie później  
opowiedziałeś im tę historię,

a których w podróży nad Rodan

wiadomość ta nie odnalazła.

Gdy po siedmiu latach w parku w Vence

zastała cię wieść o śmierci Czesława

Miłosza pomyślałeś, że ktoś zażartował

z niego i pozwolił zasmakować

nowego stulecia. Ale kto już wkrótce

miał zażartować z ciebie?

[...]

Nie pamiętam już, komu z nas przyszło

na myśl zabrać ze sobą gałązkę,

która miała przetrwać najdłuższą

podróż, a potem służyć za widzialny dowód

na istnienie południa.

W ostatni wieczór po zmierzchu zeszliśmy

do ogrodu, żeby dotknąć

rozłogów i pędów (o, rozmarynie! oberżyno!)

i wybrać najsilniejszy z nich: oszalały krzew,

który rozkładał długie łodygi

wokół obejścia i właśnie zakwitał

na tak wielu skwerach, trawnikach i rondach,  
poboczach dróg i parkingów po wszystkich  
stronach morza.

Witkę uciętą na wysokości wzroku

- ciemnozielone liście

i kilka kwiatów o zapachu wanilii -

J. włożyła do plastikowej butelki  
napełnionej wodą i wciśniętej rano  
pomiędzy bagaże, garść kamieni  
zabranych z plaży i niewielką kontrabandę  
(panowie Gigondas i Vacqueyras  
lubią podróżować razem).

Wyruszyliśmy przed świtem, żeby  
jeszcze w połowie dnia okrążyć Alpy

i o północy położyć się w chłodnej  
pościeli. Ciepła noc, reflektory w mroku,

dalekie światła domów na wzgórzach,  
nazwy obiecujące długie pożegnanie:

Villefranche, Beaulieu, Eze

*(Sehr langsam und noch zurückhaltend)*

i w końcu skała Tropaeum Alpinum,  
o której Wergili powiada w *Czyścucu*,  
że bez skrzydeł nie sposób  
postawić tam stopy, a Pliniusz Starszy  
w *Historii* wymienia czterdzieści pięć  
liguryjskich plemion, których klęskę  
z ręki Oktawiana Augusta sławi pomnik.  
*Życie tamtych pada cieniem na żywoty  
siedzących wysoko.*

A więc, Imperator Caesar Divi filius Augustus,  
światło i sól, o świecie i nagle  
żegnam was, żegnam, żegnam!

Poemat „Oleander” - mp3:

<https://www.dropbox.com/sh/kwgs0dfdb4je6vl/AACJnHfCoMqtfGO5etSjwTPla?dl=0>

---

**Marcin Kurek** (ur. 1970), poeta, eseista, tłumacz. Ukończył filologię hiszpańską na Uniwersytecie Wrocławskim i do dziś pracuje tam, prowadząc zajęcia z literatury hispanoamerykańskiej, przekładów i twórczego pisania. Jako poeta i tłumacz poezji opublikował siedem książek. Jego przekład „62 wierszy” katalońskiego poety Joana Brossy został wyróżniony Nagrodą „Literatury na Świecie” (2006). W 2010 r. nakładem Zeszytów Literackich ukazał się jego poemat

*„Oleander”, za który otrzymał Nagrodę im. Kościelskich i nominację do Nagrody Silesius. Całość poematu ukazała się w Czechach (Wydawnictwo Triada) i w Hiszpanii (Bartleby Editores), zaś jego fragmenty przełożono na francuski, rosyjski, słowacki, ukraiński i litewski.*

**Jacek Bierut** (ur. 1964) – poeta, prozaik, krytyk literacki. Absolwent polonistyki UMCS, laureat m.in. nagród im. Kazimierzy Iłłakowiczówny i Fundacji Kultury. Mieszka we Wrocławiu. Tekst ukazał się w miesięczniku „Akcent” (1/2011) oraz w książce „Rozkład jazdy. Dwadzieścia lat literatury Dolnego Śląska po 1989 roku” (2012).

**O rodzinie Kościelskich i nagrodzie na Culture Avenue:**

<http://www.cultureave.com/koscielscy-i-ich-dzielo/>

**Marcin Kurek - Wielkie Nocne Czytanie: fragment „Oleandra”:**